

Relacja z wyjazdu do Portugalii będącego częścią przedsięwzięcia pt. „Budujemy mosty pomiędzy Polską a Portugalią”

w ramach projektu „Ponadnarodowa mobilność uczniów” realizowanego w Programie Operacyjnym Wiedza Edukacja Rozwój 2014 – 2020 współfinansowanego z Europejskiego Funduszu Społecznego.



Fundusze Europejskie
Wiedza Edukacja Rozwój



Rzeczpospolita
Polska

Unia Europejska
Europejski Fundusz Społeczny



Trochę sztampowy ten tytuł, prawda? Wręcz bardzo sztampowy, ale trudnym było znaleźć jakiegokolwiek inne zdanie, które by w tak perfekcyjny sposób oddawało okres pięciu dni, które piętnastoosobowa grupa uczniów z klasy 3LO spędziła w Portugalii, głównie w mieście Setúbal, ale też w stolicy kraju - Lizbonie, współtworząc projekt z rówieśnikami z tamtejszego państwa i starając się zbudować tytułowe mosty między Polską a Portugalią. Czy się udało? Bez cienia wątpliwości czy drgnięcia powieki można stwierdzić, że tak.

Ale zacznijmy od początku. Realizacja projektu sama w sobie była bardzo trudnym zadaniem, gdyż należy zaznaczyć, iż grupa uczniów, która wyjechała do Portugalii, nie była pierwszą grupą szykującą się do realizacji całego przedsięwzięcia, lecz drugą. Z powodu znanego nam wszystkim wirusa niestety wcześniejszy wyjazd nie doszedł do skutku. Jakkolwiek by to nie zabrzmiało, szczęście uśmiechnęło się do kolejnych piętnastu osób, które - warto zaznaczyć - miały dosyć mocno utrudnione zadanie, gdyż pół roku przygotowań musieli oni zrealizować w przeciągu miesiąca, co z gorszym bądź lepszym skutkiem się udało.

I tak o godzinie 10:00 dziesiątego dnia, dziesiątego miesiąca, dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku, osiemnaście osób: troje opiekunów, trzech nastolatków i dwanaście nastolatek, którzy zakwalifikowali się do projektu w eliminacjach, wyjechało spod Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Oławie, w kierunku Wrocławia, by na tamtejszym lotnisku po odprawie i przejściu przez bramki wsiąść do samolotu i polecieć do Monachium, skąd po sześciu godzinach przesiadki w końcu mieli się udać do Portugalii. Tak też się stało. Samolot linii Lufthansa wylądował na lizbońskim lotnisku około godziny 23:00, gdzie grupę przywitało dwoje uczniów wraz z

nauczycielkami z setúbalskiej szkoły, by następnie udać się autokarem do hotelu we wspomnianym mieście.

O dziwo, pobudka następnego dnia nie była tak trudna jak można było się spodziewać, mimo faktu, że większość grupy poszła spać po godzinie drugiej, a najwcześniej o 7:00 trzeba było wstać, by o wpół do dziewiątej zejść na śniadanie. Na 10:00 zaplanowana była wizyta w szkole przyjmującej, co dla wielu było dosyć stresujące, a sytuacji nie poprawiał widok jednego z uczniów w garniturze w momencie, gdy duża część z nas była ubrana "na cywila". Jak to będzie wyglądać, gdy oni ubrani są odświętnie, a my tak prosto? Ale nie było już odwrotu i udaliśmy się do placówki. Pierwsze spotkanie z portugalskimi uczniami z początku było dosyć... niezręczne? Tak, to chyba dobre słowo. Jednak przełamanie pierwszych lodów, dzięki grze zorganizowanej przez naszych gospodarzy, okazało się bardzo łatwe. Następnie udaliśmy się na zwiedzanie szkoły.

Jak się okazało - była ogromna, podzielona na siedem różnych bloków. Co więcej, mają w niej chyba wszystko: od prostej stołówki, gdzie uczniowie jedzą szkolny lub przyniesiony przez siebie lunch, przez salę kinową i ogromną aulę, gdzie zostaliśmy przyjęci, do chociażby sal laboratoryjnych, w których przeprowadzane są eksperymenty chemiczne pod nadzorem nauczyciela. Ba, nawet całe grono pedagogiczne razem z dyrektorem ma wydzielony osobny, kilkunastopokojowy blok. Wracając jednak. Po zwiedzaniu udaliśmy się na lunch do szkolnej stołówki, gdzie - jak się okazało - wydzielono nam taśmą specjalne miejsca. Można się było przez to poczuć jak atrakcja turystyczna, małpki z wybiegu w zoo, a to - jak łatwo można się domyślić - nie było najprzyjemniejsze. A co do samego jedzenia, choć w następnych dniach nie było ono najgorsze, tak wtedy nie podbiło naszych podniebień (delikatnie mówiąc).

Potem przyszedł czas na wspólne zwiedzanie Setúbal. Byliśmy w centrum historycznym, na krótkim pokazie filmowym i odwiedziliśmy najważniejsze miejsca w mieście, choć pewnie nie wszystkie. I tu trzeba zaznaczyć, że choć lwią część budynków nie była w idealnym stanie, tak ciasne, kamienne uliczki otoczone zewsząd kolorowymi kamieniczkami i dopełnione roślinnością miały swój urok. W czasie całej wycieczki dało się zauważyć, że jakiś załazek relacji pomiędzy nami a Portugalczykami

powoli zaczął się budować, czy też w bardziej metaforycznym kontekście obie strony stawiały fundamenty pod łączący nas most. Drugi dzień od godziny 9:00 do 14:00 spędziliśmy w szkole. Zaczęliśmy zbierać materiały i nasze, i portugalskich uczniów, po czym pewien czas spędziliśmy na lekcjach w szkole. Część z nas udała się na lekcje filozofii, część na lekcje angielskiego, a jeszcze inni na geografię. Mi i trzem innym osobom przypadła pierwsza z nich i co tu dużo mówić: było to ciekawe doświadczenie, ale też bardzo nudne. Głównie siedzieliśmy, od czasu, do czasu zamieniając parę słów z uczniami z klasy, do której dołączyliśmy. To nam pokazało, jak bardzo inna jest mentalność Portugalczyków od mentalności Polaków. Ci ludzie byli przyjaźni, swobodniejsi, mniej ofensywni i przede wszystkim traktowali nas normalnie, jak drugiego człowieka, a nie z góry, jak kogoś gorszego, czy kosmitów z innego świata.

Po lekcjach autokarem udaliśmy się na plażę, gdzie część grupy dany nam czas spędziła na pływaniu w zimnych wodach oceanu, a część na wspólnym graniu w siatkówkę. I to były naprawdę przyjemne dwie godziny, które tylko bardziej zacieśniły więzi między nami. Potem wyruszyliśmy na wycieczkę objazdową wokół - swoją drogą bardzo pięknego - Parku Narodowego Arrabida, gdyż, co tu dużo mówić, widoki zapierały po prostu dech w piersiach. Podejrzewam jednak, że najważniejszym wydarzeniem tego dnia był wieczór kulturowy, na którym my, jako grupa z Polski, zaprezentowaliśmy naszym gospodarzom poloneza (niezręczna rzecz, jeśli zapytać mnie, choć przy drugim podejściu, już razem z naszymi portugalskimi rówieśnikami, było lepiej), oni przygotowali naprawdę smaczny posiłek, i udało się też usłyszeć dwie pieśni z gatunku Fado w całkiem niezłym wykonaniu jednego z nauczycieli. Piszę całkiem niezłym, bo to nie do końca typ muzyki, którą byłbym w stanie słuchać każdego dnia; nie mój klimat. Jednak tak naprawdę przełom miał nastąpić dnia trzeciego, kiedy to mieliśmy udać się na wycieczkę do Lizbony.

Tutaj dało się już odczuć dwudniowe zmęczenie w postaci obolałych mięśni nóg i zasypiania, a grzejące z góry słońce, ani trochę nie poprawiało całej sytuacji. W czasie kilkunastu godzin zbieraliśmy materiały do projektu, poznawaliśmy poszczególne atrakcje turystyczne i najważniejsze miejsca w Lizbonie, jak chociażby klasztor Hieronimitów. W ogólnym skrócie: dużo chodzenia i masa słuchania miłej przewodniczki

z trzygodzinną przerwą na jedzenie i małe zakupy, by pod wieczór wsiąść do autokaru i udać się w drogę powrotną do Setúbal, gdzie mieliśmy spożyć kolację, a potem wrócić do hotelu. I tu należy się zatrzymać na dłuższą chwilę, bo te - plus, minus - czterdzieści minut jazdy bez najmniejszego wahania można nazwać kwintesencją projektu, jego najlepszym momentem. Nie wiem jak inne osoby uczestniczące, ale przynajmniej ja czułem wtedy, że to coś większego niż zwykły projekt. Wspólne śpiewanie, śmiechy i rozmowy wydawały się czymś naprawdę prawdziwym, czymś... czystym? Na pewno czymś, czego nie sposób zapomnieć. Wtedy część z nas zrozumiała, że rozstanie w piątek będzie naprawdę trudne.

Czwartek był również owocnym dniem, choć nie robiliśmy tak dużo, jak wcześniej. Ot praca nad projektem, a następnie przyjemny wspólny rejs statkiem wzdłuż wybrzeży Setúbalu, gdzie czas spędziliśmy bardziej na wspólnej zabawie i robieniu zdjęć, niż podziwianiu widoków. Ta sielanka, sprawiła, że w momencie, w którym nasza grupa musiała udać się na drugi rejs, ale już bez Portugalczyków pojawiły się głosy sprzeciwu. Po prostu woleliśmy spędzić czas z tamtymi ludźmi niż udać się na pozornie nudny półwysep Troia, gdzie czekała nas wizyta na plaży, spotkanie z czymś, co można określić hotelem dla kotów i koniec końców zimna, aczkolwiek bardzo dobra kolacja. Ale wszystkie te komentarze zniknęły jak za dotknięciem różdżki, w momencie, gdy nasze oczy były świadkami ferii barw jaka towarzyszyła zachodowi słońca na tamtejszym wybrzeżu. Piękno złotego koloru nieba, przechodzącego w róż, by potem stać się fioletem, a na końcu dopełnić wszystko ciemnym granatem było czymś, czego słowa nie oddadzą w stu procentach. Warto też nadmienić, że tuż przed powrotem do hotelu, część osób z portugalskiej grupy czekała na nas po drugiej stronie zatoki, w porcie. Można to było uznać za znak, że przestaliśmy być dla nich tylko zagranicznymi znajomymi, a staliśmy się... przyjaciółmi? Nie wiem, trudno stwierdzić coś takiego zaledwie po czterech dniach.

Piątek był trudnym dniem. Bardzo trudnym. Śniadanie, ostatnia wizyta w szkole, prezentacja efektów pracy nad projektem, w ogromnej, wcześniej wspomnianej auli i stres z tym związany były czymś, co bladeło w obliczu nieuchronnie zbliżającego się pożegnania. A tego nie chcieliśmy, woleliśmy zostać niż wracać do zimnej i ponurej Polski; jednak nic nie dało się z tym faktem zrobić. Po sześciu godzinach

udaliśmy się na aktywny sposób spędzania wolnego czasu: zwiedziliśmy trochę Setúbalu, kupiliśmy pamiątki, a nawet widzieliśmy delfiny, co było ekscytujące, ale też w pewnym stopniu odrobinę męczące przez wszechobecny wicher. Wbrew pozorom, wiatr we włosach nie jest taki przyjemny, jeśli jest się wystawionym na jego działanie przez dłuższy czas. Wieczorem czekała nas (dobra) kolacja pożegnalna w towarzystwie naszych gospodarzy, a następnie zyskaliśmy trzy godziny, by pobyć razem. I były świetne chwile, ale jak można się było spodziewać tylko do momentu, w którym musieliśmy się pożegnać. Pojawiły się łzy. Dużo łez. A do tego smutek i coś w rodzaju pustki, choć nie u wszystkich. Plus tego wszystkiego był taki, że droga powrotna była szybka i nie męczyła tak jak na początku.

Gdybym jednak miał podsumować cały ten wyjazd, określiłbym go dwoma słowami: "niepowtarzalne doświadczenie". Nigdy w swoim życiu nie spotkałem się z tak ciepłym przyjęciem przez kogokolwiek; nigdy nie usłyszałem w ciągu jednego dnia tylu miłych rzeczy; nigdy nie spotkałem tak otwartych ludzi. Owszem, może i pojawiły się jakieś problemy w realizacji projektu, czy też mini konflikty, ale w obliczu tego jak prezentuje się doświadczenie z całego przedsięwzięcia, jak bardzo udało nam się zintegrować i świetnie spędzić czas razem, spokojnie jestem w stanie stwierdzić, że poza paroma nieistotnymi z perspektywy czasu kwestiami nie zmieniałbym w tym wyjeździe nic... No może poza długością. Nie obraziłbym się, gdyby był o wiele dłuższy.

Maciej Dawidowicz